

WSZELKI ŚLAD ZAGINAŁ

Nie wiemy, kiedy zginęli, nie wiemy, jaki sposób uśmiercenia ich wybrano i nadal tajemnicą jest, gdzie są pochowani. Nie jest także pewna liczba ofiar – 500–600 osób? A może 1000, jeśli liczyć tych zza ówczesnej granicy? Nie dowiemy się tego, dopóki zamknięte będą dla nas archiwa b. Związku Sowieckiego.

Pozostają same niewiadome. Pewne jest natomiast, że ta pacyfikacja przeprowadzona na terenie Polski przez władze sowieckie, po zakończonej wojnie, tym różniła się od innych podobnych akcji, że nikt z niej nie wyszedł z życiem, nikt nigdy się nie odnalazł.

Taka jest najbardziej charakterystyczna cecha obławy lipcowej 1945 roku na Suwalszczyźnie, zwanej często, choć niezbyt ściśle, obławą augustowską.

W rozmowach z rodzinami ofiar najczęściej słyszy się słowa: „jak kamień w wodę...”, „jak powieźli, to po dzisiejszy dzień”.

Dwie opowieści Stefana Rapczyńskiego

To było w 1942 roku. Chyba w czerwcu. Ja kąpał się w jeziorze. Patrzę – idzie jakiś człowiek. Obszarpany, brudny, zarośnięty strasznie. Naprawdę żałosny widok przedstawiał. Myślę w jezioro będę uciekać, okrutnie ja przestraszył się. Pływać pływałem dobrze, przez jezioro ucieknę. A on: – Nie uciekaj, *malczyk*, nie uciekaj, ja ruski żołnierz. Uciekłem z niewoli i chcę jeść. Nie mów nikomu, bo Niemcy mnie złapią. Jaki twój ojciec, czy mnie nie wyda?

Poszedłem do domu, zjadłem obiad i niby to dla psa wziąłem żarcie – chleba, mięsa kawałek przy kości, przyniosłem i jemu to dałem. On w trzcinach tutaj przesiedział nad brzegiem.

– Ale nikomu nie mów! – powtarzał.

No jak tu nie mówić? Przecież to taka odpowiedzialność – kara śmierci za ruskiego niewolnika! Ja nie byłem już taki młody, bo miałem te 16 lat i sam rozum wskazywał, żeby powiedzieć ojcu.

Wieczorem ojciec przyszedł do niego, porozmawiali, no i parę dni to on spał w stodole na sianie, ale potem zrobili jemu wnękę taką, w koniczynie, deski wybrali i miał tam legowisko, mieszkał, spał. Jeść mu przynosili, przeważnie ja. Wiedzieli o nim tylko matka, ja i ojciec. Dzieci były małe, to mogły się wygadać. Ojciec nie kazał mu mówić naszego nazwiska. W razie kiedy go złapią, to pokazać gdzie on był, będzie trudno.

No i on tu u nas był może dwa i pół miesiąca. Groch był mały, jak przyszedł, ledwie wschodził, a jak my już jego wyprawili, to groch strąki miał. On zaczął wychodzić do grochu i sąsiad spotkał ojca i mówi: – Tu jakiś człowiek kręci się, uważaj, ja już dwa razy go widział, do mego grochu przychodzi. To jeszcze nie było takie groźne, bo ten sąsiad nigdzie by nie powiedział, ale niedługo potem przyjechali żandarmy po miód do nas, bo była pasieka. Żandarmy z psem. I nagle coś stuknęło, załomotało w tej stodole. Pies od razu do stodoły, jakby go kto poszczuł. Ja za nim, ojciec zbladł tylko, bo liczyli, że ten pies wywęszy. A tu kot wleciał i pies za kotem poleciał. Żandarmi uważnie obeszlą stodołę i nie znaleźli niczego. A to ten Rus był i wyszedł.

Może jeszcze z tydzień u nas pobyt i ojciec mówi: – Wiesz, już o tobie gadają. Idź ty gdzieś dalej.

No i my wyprawili go, ojciec jeszcze dał mu bochen chleba na drogę. Ubranie i obucie to mu przedtem dali wszystkie swoje, bo na nim to były strzępy. Ojciec go podprowadził, no i on poszedł. [...]

* * *

Był rok 1945. W kwietniu z Białogór Cieślak Antoni powiada do ojca: – Wiesz, byli u mnie Rusy (w każdej gminie był ruski komisarz NKWD-zista), przyjechali z Gib, poszukują takiego, co by miał pasiekę, żeby lasek taki był, o jak ten z drugiej strony jeziora.

O co tu chodzi? My doszliśmy z ojcem do wniosku, że nic, tylko ten Rus przeżył i teraz ten tam komisarz w Gibach coś wie o nas. I prawda. Mnie nie było w domu, jak oni przyjechali we dwóch z lejtnantem. Ojciec opowiadał, że wszystko o nas wiedzą. Ten lejtnant mówi:

– No zgadza się, ty Stanisław, syn Stefan.

Imiona dzieci i żony i nawet siostry ojca, tylko nazwiska nie znali. – Każdego dzieciaka! Ja aż stropił się. I pojechali.

A potem był odpust w Karolinie, na który my rowerami z kolegą pojechali. Po odpuście zabawa, przyjechali partyzanci. Milicjanci, co byli na zabawie, donieśli i następnego dnia, to znaczy 26 czerwca, już była pierwsza obława. Mnie zwolnili, bo miałem wrzód i gorączkę, ojca puścili po paru dniach. Wtedy wzięli sześciu. Ale okazało się, że partyzanci porwali jakiegoś ruskiego kapitana i około 10 lipca znaleziono go zabitego.

W początku lipca, kiedy jeszcze nie znaleźli tego kapitana, ojciec mówi do mnie tak: – Był ten kapitan z Gib z lejtnantem i kazali mnie i ciebie brać synku i iść kryć się, bo zabiorą nas.

Pogadaliśmy z ojcem. No – mówię. – Tata nie należy do niczego, ja nie należę, bo przyszedłem z Prus, gdzie na robotach byłem, pójdziem kryć się, to tak jakby zalegalizujem swoją przynależność do czegoś, tak jakby winę na siebie wzięli. A wiele można kryć się? Całe życie nie będziem kryć się. Jeżeli winny i w coś tam wplątany, będzie śledztwo, to udowodnią, a jeżeli nie udowodnią, to puszczą.

Ale naprawdę ten kapitan miał dobre, szczerze chęci. On dobrze życzył, tylko my może trochę... no, człowiek myślał inaczej, jak potem okazało się.

Może na jakieś cztery dni przed aresztowaniem, to mógł być 22, 23 lipca, ja na polu bronuję, patrzę, ojciec idzie ubrany, kurtkę moją niesie, a tu lipiec – ciepło, i jakiś pakunek – z żywnością, jak okazało się później. – Wyprzęgaj konia – mówi – idziem kryć się. Był znowu ten kapitan i mówił – schowajcie się, to potrwa niedługo, może tydzień, może 10 dni i po wszystkim. Ale ukryj siebie i syna.

Znowu porozmawialiśmy i nie poszliśmy kryć się. I teraz myślę, może to była moja wina, bo ojciec był zdecydowany na to. Po tylu latach czuję, jakby taka odpowiedzialność ciążyła na mnie za to, co się stało.

26 lipca wieczorem z sąsiadem kujem konia i jadą Ruscy furmanką, stanęli na miedzy. Pozeskakiwali, jeden biegnie do jeziora. Ojciec mówi: – O, przyjechali już aresztować!

Przyjechało chyba sześciu i kogoś mieli już na furmance przykrytego plandeką na głowę.

Idą tu do nas. Wchodzi jeden żołnierz i oficer, poznajemy, że to ten lejtnant, co z kapitanem z Gib przyjeżdżał ostrzegać. Mówi do ojca: – Ty Stanisław Rapczyński? – Tak, ja. Jeszcze tato pokazuje jakiś papier, ten sprawdza. – Oj biada z tobą, Stasiu, biada! Ojciec

mówi – *Kakoj biada? Germańca pobiedzili, wajna ukończyłacie...* – *Da, wojna skończyła się, ale z taboj Stasiek, biada, biada.* Chodź z nami, pójdziesz do sąsiada droga pokazać.

No i jeszcze sąsiada Sidorowicza Stanisława aresztowali. Zabrali ojca na furmankę, a tutaj z mieszkania wzięli wynosić miód, jakieś ubrania. Ja nie wytrzymałem i mówię: – To jak to? Sojuszniki a rabujecie! – A przy mnie stał żołnierz taki młody, od razu nabój w lufę i: – *Ubiju ja tiebia, ubiju!* A ten lejtnant to biegiem leciał – *Nie strielaj, nie strielaj na niego!*

Przyleciał i: – O co chodzi? – pyta. Ja mówię do tego lejtnanta: – Tak? To wy sojuszniki? Ojca zabrali, a teraz rabujecie? To sojusznikom tak *nužno*? Ja dzisiaj myślę, że miałem więcej szczęścia niż rozumu w tej sprawie, bo co jemu było mnie zabrać. A on podszedł pod chatę ze mną, stanął, zamyślił się, a potem zawołał tych wszystkich bojców, co tam byli, i mówi: – Nie umieli brać, tak *nužno* oddać. No i ten miód i inne rzeczy, co pobrali, to znieśli do chaty. Ale jak wzięli zegarek, obrączki, pierścionki, to tego nie oddali, nie ma mowy.

I pojechali z ojcem. Tylko za górkę ujechali, to i ojca plandeką na głowę nakryli. I powieźli.

Ojciec miał tych parę klas skończonych, a to przed wojną nie w każdym domu pisać umieli. Z pokolenia ojca większość była nieczytelna i niepiśmienna. Dawniej jak żenili się, to posagi były – żądali, jak dasz tyle i tyle, to ja wezmę, a jak nie, to nie. Tak kojarzono te pary, ojciec umowy spisywał, na przykład pola dzielili, to ojciec chodził i mierzył, bo na mierniczego nie mieli ludzie pieniędzy. Wieś podawała go do sądu za pełnomocnika, był szanowanym, uważanym człowiekiem. Nie wstydzilem się ojca.

Następnego dnia, przyszedłszy od sąsiadów, stoimy z Franciszkiem na podwórzu i rozmawiamy o tym wszystkim, co się dzieje, że aresztują, że zabierają, co z nimi będzie – takie zwyczajne rozmowy. Przyjeżdżają Rusy znów. Tamtego od razu wzięli, wsadzili na wóz. Przychodzą do mnie: – *Uwierajsa i z nami.* Matka w płacz, że zabrali ojca, zabili, teraz syna!

– *Krasnaja Armia nikogo nie ubijała i twego męża nie ubiła. Kak nužno budiet, tak ubijom* – tak zadziornie jeszcze ten jeden powiedział.

Ubrałem się, żywności trochę matula zapakowała. Na podwórku on mówi: – My ciebie nie weźmiem, tylko daj nam miodu dla kapitana. Znowu ten kapitan! Wziął ze trzy litry miodu, pojechali i mnie nie zabrali. Jeszcze my pytali, gdzie ojciec jest. – W Gibach. – Czy można żywność przynieść? – Można. To matula na jutro zaniósła tę żywność i z ojcem jeszcze widziała się. I tej nocy wywieźli i wszelki ślad zaginał.

Nie wiem, czy w każdej wsi tak było, ale tu u nas, jak ja dzisiaj pamiętam, nikt nie krył się, nikt nie chował się. Przyjeżdżali, brali jak ulęgałki. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że to może stać się, co się stało. I ja nie zdawałem sobie sprawy. Może nawet zwierzęta mają więcej instynktu niż ludzie.

Wieś Daniłowce – 16 gospodarstw, zabrali 12 osób.

Wieś Sumowo – 20 gospodarstw, zabrali 12 osób...

Zostały kobiety z dziećmi po roczku, po kilka lat. Obowiązkowe dostawy trzeba było oddawać. Nie było komu robić. W jakich warunkach oni żyli, to jest nie do opowiedzenia. A było i tak, że te kobiety z biedy, z udręki i tej nadludzkiej pracy poumieraly. Swego nie doszli. U nas ta sytuacja była lepsza, bo ja już 20 lat miałem i było zaorane, zasiane, zebrane. Ale obowiązkowych dostaw nie dawaliśmy rady, bo wojsko zabierało. Inni mieli po cztery krowy, u nas była jedna, dwa cielaki dokupiliśmy, to wszystko zabrali, bo ojciec aresztowany – znaczy bandyta. Takie przykrości specjalnie robili. To były „bandyckie” wioski, np. nasza wieś Sumowo, kiedy do gminy z województwa przyjeżdżali i w oczy mówili: – To trudna wieś, bandycka wieś. A ja wtedy radnym byłem, zawsze odpowiadałem: – Nie bandycka, tylko niesprawiedliwie osądzona. Narobili biedy, pomordowali ludzi, a te kobiety z tymi dziećmi męczą się.

Teraz tak nieraz myślę, no był człowiek, co chciał nas ochronić, uratować, a wiedział, że zabiorą, że podlegamy pod te ich artykuły. Bo dlaczego tyle razy przestrzegał? To było na pewno związane z tym naszym Rusem, co się tu przechowywał. Bo przecież żadnych sentymentów do nas nie mieli. No, może i dobry człowiek był ten kapitan, tylko my nie uwierzyli w tę dobroć, nie uwierzyli też, że w ten sposób można ludzi mordować, bez sądu, bez żadnego śledztwa, bez żadnego udowodnienia winy. I tak załatwiono ludzi. A NKWD było w tym wyspecjalizowane.

Tak było, jak było. Dziś każdy rozumie i wie, do czego był zdolny ten komunizm.

Stefan Rapczyński zmarł kilka lat temu. Jego opowieść, nagrana w 1988 r., jest fragmentem większej całości.



Fot. J.M. Ruman